Świat dziewcząt



Nr. 22

50 gr.

CHCĘ WSZYSTKO UMIEĆ!



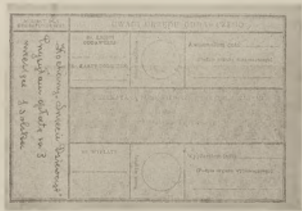
Pieniądze „na odległość" płacić można w rozmaity sposób: zwykłym przekazem pocztowym, przez PKO. (Pocztowa Kasa Oszczędnościowa), przez bank, wreszcie, jeżeli nam zależy na czasie — przekazem telegraficznym.

Przekaz pocztowy wygląda w zmniejszeniu tak, jak podajemy obok. Jest to żółta kartka papieru z odpowiedniemi rubrykami, które należy wypełnić czytelnie i wyraźnie. Rubryki, na wzorze niewypełnione, wypełnia urząd pocztowy.

Za przesyłkę pieniędzy poczta pobiera niewielkie opłaty, zależnie od wysokości przesyłanej sumy. Opłata wynosi:

do 10 złotych	—	20 groszy
do 25 „	—	35 „
do 50 „	—	50 „
do 100 „	—	70 „
do 250 „	—	95 „
do 500 „	—	1.35 „

Osoba, odbierająca pieniądze, przesłane przekazem pocztowym, kwituje odbiór i otrzymuje odcinek z nazwiskiem i adresem nadawcy (wysyłającego). Po drugiej stronie tego odcinka nadawca może napisać kilka słów, nic za to nie dopłacając.



NASZA OKŁADKA

Istnieją dzieła sztuki, które wywołują w nas bezpośrednie skojarzenia literackie. Jestem pewna, że każda z Czytelniczek Świata Dziewcząt, spojrzawszy na naszą dzisiejszą okładkę, zawoła:

— Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze!

I nie omyli się, bo to właśnie jest ilustracja do „Marji" Malczewskiego. Drzeworyt ten jest pracą Ostoji-Chrostowskiego, jednego z najzdolniejszych grafików młodego pokolenia. Gdybyśmy skądinąd nie wiedzieli, kim jest twórca tego kozaka, moglibyśmy odrazu powiedzieć, że doskonale zna się z koniem, że kocha pęd, przestrzeń, swobodę. Rzeczywiście, Chrostowski był naprzód ułanem, zanim został artystą. Zaczął rysować, siedząc w rosyjskiem więzieniu. Potem w Polsce studjował w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, dzisiejszej Akademji. Z rozmaitych rodzajów techniki obrał sobie drzeworyt i odtąd jest mu wierny. Jego „Ucieczka do Egiptu", za którą otrzymał pierwszą nagrodę na międzynarodowej wystawie drzeworytów w Chicago, zdobyła mu sławę wszechświatową.

Drzeworyt, którego reprodukcję podajemy na okładce, musi zwrócić uwagę nawet nie fachowca subtelnem wykonaniem i celową prostotą środków technicznych. Zapomocą cieniutkich kreseczek czarno-białych artysta wydobył efekt bezmiernej przestrzeni i półmroku nocy na niebie i stepie, po którym pędzi kozak.

W postaci jeźdźca zachowane są wszystkie cechy etniczne zewnętrznego wyglądu i ubioru (osełedec, bujny wąs, czapka, szarawary, rozwiane wyloty żupana, pika i krzywa szabla).

Cwałujący wierzchowiec to typowy arabczyk o suchej, drobnej główce, smukłych, sprężystych, jak cięciwy nogach, łukowato wygiętej szyi i wspaniałej odsadzie ogona.

Na pierwszym planie z gęstwiny traw stepowych wynurzają się charakterystyczne ukraińskie osty i burzany.

Całość owiana jest tą romantyczną tajemniczością, która stanowi niezwyciężony urok „Marji" Malczewskiego.

S. P. O.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Jance z Worochty. Ledwo odpisałam Ci na 1-szy twój list, a tu w zaległej korespondencji znajduję drugi. Ponieważ dawno czekasz na odpowiedź, więc masz aż dwie. Fe, jaka paskudna, pisać takie bzdury, że tylko zdrowym dziewczątkom odpisujemy, a będącym na kuracji — nie. Ostrożnie z tym tańcem przy gramofonie, jeśli lekarz zabronił. Jakże z projektem szkoły gospodarczej? Może i nie warto martwić się o ten balet — to b. trudny zawód. Napisz jeszcze!

Joasi z Krakowa. Czy chodzi Ci specjalnie o zagadki, czy wogóle o dział rozrywek? Postaramy się go urozmaicić jak najbardziej. Dziwi Cię, że chłopiec przysłał rozwiązanie zagadki? Z pewnością chłopcy czytają „Świat Dziewcząt". Pogarda dla „bab" jest rzeczą mocno przestarzałą odkąd istnieją szkoły koedukacyjne. Dziewczyna jest dziś kimś równym, koleżanką, spotykaną na wszelkich polach pracy i rozrywki. Są dziedziny, w których kobiety wykazały nawet więcej dzielności i przedsiębiorczości (w rodzinach bezrobotnych np.) od mężczyzn. Niech Cię więc nie dziwi wyrównanie zainteresowań.

A teraz: Zarówno „Adam i Ewa" jak „Przewrót w rodzinie Dornów" były nowelami, nie feljetonami. Długość odcinków „Czaru skrzydeł" zależy poniekąd od innych materjałów w numerze, które muszą być zamieszczane w całości. Nie, nie możemy jeszcze wychodzić co tydzień, do czasu, aż przybędzie więcej prenumeratorek. Oczywiście, masz rację, Joasiu, dużo wygodniej dla was i dla nas prenumerować pismo, niż kupować je doryweczo. Wszystkie stronice „Świata Dziewcząt" dziękują za pamięć.

11-letnia Janka Bend. Też pomysł, Janeczko, że tylko starsze mogą do nas pisywać. Nie wiesz, że lata nic nie znaczą w tym wypadku? O bardzo prosimy, pomóż nam się rozwijać, jak obiecujesz. Każde żywe stworzenie chce żyć, a zwłaszcza takie, które żyje dla innych, jak np. „Świat Dziewcząt". Dużo serdeczności.

Olzie. Naturalnie, będziemy pisać o wszystkich dzielnicach Polski. Każda czytelniczka musi u nas odnaleźć swoje rodzinne strony a wszystkie — zapoznać się z całą Polską. Może przyślesz nam jakiś reportaż ze Śląska Cieszyńskiego?

Helence. Będą w tym roku nowe roboty też. Nie wypada zdradzać tajemnic redakcyjnych, ale chyba żadna z redaktorek nie jest stara. Zresztą wnioskuj sama! Teraz wogóle dziwne rzeczy porobiły się z tą starością. Jakgdyby się mocno odsunęła w przyszłość. Czy nie uważasz? Dawniej 20 lat to już był wiek bardzo a bardzo poważny! Napisz jeszcze, Helenko.

Promyczku. W sprawie jedwabnictwa najlepsze informacje da Ci stacja doświadczalna w Milanówku. A może to już załatwiłaś? Wszystko trzeba przygotować przez zimę. Co do pieczarkarni, będąc w Warszawie, zgłoś się do redakcji „Bluszczu" (Solec 87)). Tu otrzymasz numery z lat ubiegłych z artykułami prof. Teodorowicza, który obszernie o tem pisał. Zresztą zarówno o jedwabnictwie, jak pieczarkach, a także innych sposobach dorabiania będzie pisał „Świat Dziewcząt". Nie podałaś adresu, więc nie można było Ci odpisać prywatnie, a „Świat Dziewcząt" miał właśnie przerwę wakacyjną. Pozwól sobie powiedzieć, że jesteś b. dzielna, Promyczku.

Rok I Warszawa, dnia 20 października 1933 r. Nr. 22



MRÓWKI I CHOMIKI

Wyraz „oszczędność" nie należy do *wyrazów* lubianych. Wymawiamy go przeważnie bez cienia życzliwości, a nawet z odcieniem niechęci. Zwłaszcza teraz, kiedy pojedynczy ludzie, rodziny, miasta, organizacje, ba, całe państwa nawet do ostateczności ograniczyły swoje potrzeby, starając się *wydawać jak najmniej*—propagowanie oszczędności wydać się może rzeczą nietylko niepotrzebną ale nawet — niestosowną. Przecież niektórzy twierdzą, że właśnie oszczędność sprowadziła na świat wielkie nieszczęście, które się nazywa kryzysem(i tego wyrazu nie lubimy, prawda?). Inni twierdzą znów, i ci mają więcej słuszności — że kryzys wywołało to, że świat zaczął wytwarzać więcej zboża, hodować więcej zwierząt i wyrabiać więcej towarów, niż ludzie są w stanie kupić i zużyć. Ale mniejsza o to.

Utrzymana w granicach rozsądnych, jest oszczędność bezwzględnie rzeczą dobrą i z całą pewnością może być zaliczona do cnót, nie do wad ludzkości.

Bo przecież rozsądna oszczędność — to nic innego, jak umiejętne gospodarowanie swojem dobrem. Człowiek, który oszczędza dla samego oszczędzania — nie jest właściwie oszczędny, ale poprostu skąpy. Niemcy nazywają takie oszczędzanie „chomikowaniem" — (hamstern), bo w świecie zwierzęcym chomik jest sknerą, który gromadzi w kilku norach o wiele więcej dobra, niż jest w stanie zjeść z całą swoją rodziną! Jeżeli sięgnęłiśmy do porównań ze zwierzętami — przeciwieństwem sknery — chomika są naprawdę oszczędne mrówki, które zbierają w mrowiskach skarby poto, żeby z nich korzystać w miarę potrzeby i konieczności.

Na zupełnie innym biegunie poglądów gospodarskich stoi pasikonik z bajki, który w lecie nie myślał o tem, co będzie jadł w zimie i zmuszony był żebrać pomocy właśnie u mrówki. Jeżeli sympatje nasze są po stronie pasikonika, to nie dlatego, że pochwalamy jego sposób życia, ale że razi nas oschłość mrówki i że — jakże słusznie! — nie lubimy nauk moralnych, ani w bajkach, ani w życiu.

To jednak, że mrówka była oszczędna — oschła, i niesympatyczna, a pasikonik lekkomyślny, ale miły — nie powinno nas źle usposabiać do oszczędności.

Jak powiedziałam, oszczędność nie jest niczem innem, jak rozsądnem gospodarowaniem swojem dobrem. Np. jeżeli wyrzekamy się przyjemności, czy rozrywki dla samej tylko satysfakcji posiadania po jakimś tam czasie kilku, czy kilkunastu złotych — trudno to pochwalić. Ale jeżeli oszczędzamy pieniądze, przeznaczone na przyjemność, czy rozrywkę dlatego, żeby użyć je w inny, lepszy, jeszcze *przyjemniejszy*, lub rozsądniejszy sposób — postępujemy dobrze i mądrze. Gdybyśmy pamiętały, ile złotych można zebrać z pięcio i dziesięciogroszówek, wydawanych bezmyślnie („pięć groszy — to nie pieniądz!") na malowanki i cukierki (wyrosłyśmy już z tych lat, prawda?), na fotografje gwiazd (z tych lat jeszcześmy nie wyrosły...), gdybyśmy pamiętały, że z tych pięcio i dziesięciogroszówek może być rakieta, narty, książka, rękawiczki, pończochy, bilet do kina wreszcie — z pewnością na naszym stole znalazłaby się skarbonka, w której do czasu leżałyby wszystkie „drobne" pieniądze.

Do czasu, bo trzymanie pieniędzy w skarbonce na stałe jest też swego rodzaju „chomikowaniem", albo jak mówimy: „tezauryzacją". Pieniądz, który leży w skarbonce jest pieniądzem bezużytecznym, bo *nie pracuje*, bo jest bezczynny. To też trzeba co jakiś czas opróżniać skarbonkę i zebrane w niej pieniądze składać na książeczkę P. K. O., lub innej instytucji państwowej, czy samorządowej.

Oszczędności, złożone na książeczkę, przynoszą korzyść przedewszystkiem temu, kto je składa: kasa płaci od nich procent. W ten sposób *pieniądze pracują na nas.*

Ale oszczędności te przynoszą korzyść nietylko nam: bank, czy kasa pożycza je rozmaitym ludziom, na rozmaite cele i pobiera za to też procenty, z których to właśnie płaci procent posiadaczowi książeczki. W ten sposób każdy grosz, niewydany przez nas bezmyślnie, ale wrzucony do skarbonki a potem wraz z innemi groszami złożony na książeczkę, zanim wróci do nas w liczniejszej gromadzie, niż od nas wyszedł (procenty!), przyczynia się do dobrobytu całego kraju i staje się skuteczną bronią w walce z gnębiącym świat kryzysem.

Kiedy to zrozumiemy, wyraz „oszczędność" nabierze dla nas innej barwy i innego znaczenia. Przestanie być szary, nudny, oschły. Zagra wszystkiemi barwami tęczy, przyjmie kształty wymarzonej oddawna rakiety, czy łyżew, uśmiechnie się nadzieją podróży w góry czy nad morze, a może nawet usunięciem trosk naszych najbliższych.

A więc pamiętajmy:
Skarbonka.
Książeczka oszczędności.
I ważkie złote, wyrosłe z pogardzanych groszy.

Zofja Popławska.

ZOHRA



...ma lat 11 i jest małą, wesołą dziewczynką.

Zohra jest Berberyjką, córką znanego adwokata w Marakesh (stolica Marocca sułtanatu północno-afrykańskiego, dawniej niepodległego, dziś — od roku 1912 — pod protektoratem Francji). Ojciec jej nazewnątrz sprzyja Francuzom: ubiera się w strój europejski i odwiedza wysokich urzędników. Natomiast u siebie w domu surowo przestrzega krajowych obyczajów. Matka Zohry ukrywa piękną twarz pod zasłoną i nie wychodzi na ulicę — chyba raz na tydzień do Hammam (łazienki) i to w nocy, kompletnie osłonięta, pod eskortą służących. Za rok i Zohrę spotka to samo, ale narazie ma lat 11 i jest małą, wesołą dziewczynką.

Nosi piękny, różowy haik, przytrzymany liljowym, jedwabnym pasem ze srebrną klamerką i cieniutkie bambosze na nogach. Czoło i palce rąk zdobi już henną, jak dorosła kobieta, a czarny, zbity materacyk włosów układa w staranną fryzurę. Nie chodzi do szkoły, natomiast od kilku już dni uczy się pięknych haftów (właśnie ze względu na swe bliskie już zamążpójście).

Trzy razy dziennie chodzi po wodę do studni na pobliskim placyku. Jest to najmilsze zajęcie, bo tam się spotyka z rówieśnicami, nasłucha się zawsze różnych plotek, powtarzanych potem sumiennie matce (tak się nudzi tam w domu biedaczka), napatrzy ludziom, a czasem zorganizuje się naprędce partja „Tabet" — ukrywanie się w załomach murów, a potem szalona gonitwa po wąskich, śliskich ulicach.

Najważniejszem zajęciem domowem Zohry jest niańczenie małego braciszka. Nie sprawia jej to wcale kłopotu. Sadza go sobie poprostu w sposób zwany po polsku „na barana" i przewiązuje dla pewności szalem. Wówczas malec nie zleci na pewno, a siostra może się całkowicie poświęcić swej lalce, zrobionej z patyka, owiniętego gałgankiem. Nie jest to najpiękniejsza imitacja człowieka i Zohra wie o tem, bo widziała w oknie wystawowem żydowskiego sklepiku prawdziwą lalkę europejską: jasne włoski, różowa buzia, powieki opadające sennie na szafirowe oczy. Zohra takiej lalki nie dostanie nigdy, albowiem Koran zabrania wiernym odtwarzać wizerunki ludzi.

Z braciszkiem, uwiązanym na plecach i z lalką na kolanach zasiada Zohra w słońcu, w ogrodzie i obserwuje łakomie dojrzewające daktyle. Myśli:

— Daktyle są jak małe dzieci. Wysoko na szczycie palmy śpią sobie cichutko, jak niemowlęta na plecach sióstr. Małe kwiatowe pączuszki w długich ciemnych torebkach... Aż pewnego dnia torebka się otwiera i nagle cała wiecha żółto-zielonych kwiatków wygląda na świat boży. Pod niemi zielony, ruchliwy wachlarz palm, kołysanych wiatrem, nad niemi czyste, szafirowe, buchające żarem niebo afrykańskie, wdali żółty, nieskończony piasek zalanej słońcem pustyni — a potem kwiatki mają dwanaście lat — myśli dalej Zohra — i zanim się spostrzegą, czyjaś ręka połączy je z innemi kwiatkami na tem samem drzewie i z tego powstanie cudny, słodki, pachnący owoc — daktyl.

Ściskając mocno w objęciach gałgankową lalkę, dziewczynka opiera głowę o pień palmy i nuci monotonną piosenkę, nauczoną od niańki:

Raju pszczół,
ulu miodowy,
pyszności wonna,
złoty owocu,
przezroczysta słodyczy,
promieniu słońca..
Tobie, soczysty,
miodny daktylu,
radości oczu i pałaców
śpiewam tę pochwałę.

— — — — — — — — —

Pewnego razu Zohra wróciła z wodą bardzo podniecona.

— No, cóż tak długo robiłaś przy studni? — zapytała matka.

— Słuchałam bajek starego nosiwody.

— Jak on wyglądał? — spytał podejrzliwie ojciec.

— Tak, jak wszyscy przekupnie wody: stary, siwy, w łachmanach, pod pachą miał wór z koźlej skóry na wodę, a na szyi, na sznurku, miedziany kubek do wody i dzwonek, którym ogłasza o swojem przejściu.

— Ale ja pytam, czy miał jaki znak na twarzy lub na ramieniu?

— Na twarzy miał bliznę, a na ramieniu metalową obrączkę — odpowiedziała pośpiesznie dziewczynka i, nie zauważywszy chmurnego wzroku ojca, paplała szybko dalej:

— Opowiadał śliczną bajkę o lwie i szakalu. Posłuchaj, mamo, to bardzo ciekawe. W pewne gorące lato wyschły wszystkie strumienie i zwierzęta nie mogły znaleźć wody do picia. Po długich poszukiwaniach znaleziono źródło, ale bardzo nikłe, nie wystarczyłoby dla wszystkich. Należało je pogłębić. Wszystkie zwierzęta ochoczo zabrały się do roboty i wkrótce sadzawka była gotowa, tylko jeden szakal był leniwy i nie chciał pomagać, wobec tego zwierzęta postanowiły pozbawić go prawa korzystania z sadzawki. „Ja będę pilnować sadzawki — zaryczał groźnie lew — i jak tylko zobaczę nikczemnika, zaraz go pożrę". Wkrótce potem przyszedł szakal do sadzawki, ale nie pró-



Daktyle są jak małe dzieci.

bował nawet pić wody, tylko usiadł sobie niedaleko lwa, wyciągnął z kieszeni plaster miodu i począł go smoktać ze smakiem. „Widzisz, mości Lwie — zauważył szyderczo — wcale jakoś nie mam pragnienia. Ten miód jest rzeczywiście doskonały". „Daj mi spróbować choć kawałek" — poprosił lew i szakal dał mu malutki kawałeczek. „Ach, świetny, naprawdę" — wykrzyknął lew w zachwycie. — „Daj mi go więcej, przyjacielu". „Dobrze, ale aby nic nie uronić z tych pyszności, przewróć się na grzbiet, a ja ci będę wlewał miód do pyska". Lew uczynił to chętnie i powiewał rozkosznie w powietrzu wszystkiemi czterema łapami na myśl o czekającej go uczcie. „Obawiam się tylko, czy nie zadraśniesz mnie pazurem" — rzekł szakal — „pozwól, że ci je zwiążę..." Jakoż związał nieopierającemu się lwu wszystkie cztery łapy i przywiązał je do grzbietu. A wtedy zamiast karmić lwa miodem, szakal podszedł do sadzawki i napił się do sytości. Gdy zabierał się obojętnie do odejścia, zawołał za nim lew: „Panie szakalu, mój drogi panie szakalu, nie zostawiaj mnie tak leżącego niedołężnie z temi związanemi łapami. Wszystkie zwierzęta naśmiewałyby się ze mnie i utraciłbym całą władzę nad niemi. Na mój honor przyrzekam, że pozwolę ci zawsze napić się tyle wody, ile tylko zechcesz, jeśli tylko uwolnisz mnie z tych więzów. Szakal zastanowił się chwilę. Jeśli on nie rozwiąże lwa, to uczyni to ktoś inny w każdym razie, a wówczas król zwierząt nie spocznie, zanim się nie zemści. Lepiej zaufać jego honorowi. Wobec tego szakal uwolnił lwa i dał mu resztę miodu, a lew rozkazał zwierzętom, aby dopuściły szakala do korzystania z sadzawki.

W ten sposób rozpoczęła się ta dziwna przyjaźń między lwem i szakalem, a nawet polowali razem. W obawie jednak, że ta przyjaźń nie potrwa długo, szakal opuścił swą jaskinię i z całą rodziną przeniósł się na szczyt bardzo wysokiej skały, na którą wlazł przy pomocy długiego sznura, rzucanego mu za każdym razem z góry przez żonę. Lew oczywiście zabierał sobie zawsze lwią część łupu, co oczywiście gniewało szakala, zwłaszcza gdy to on sam wytropił i upolował zwierzynę, leniwy lew przychodził wtedy i mówił: „Zanieś wszystkie najlepsze części do mego legowiska, a potem możesz wrócić i zabrać ostatki dla siebie". Szakal doprowadzony do ostateczności, postanowił odpłacić lwu za wszystko i pewnego razu, gdy upolowali wspólnie piękną antylopę, zabrał wszystko do swego domu na skale, nic nie pozostawiając dla lwa. Następnego ranka zgłodniały król zwierząt przyszedł do stóp skały i zaryczał słodkim głosem: „Rzuć mi sznur, przyjacielu, przyszedłem na miłą pogawędkę do ciebie". Szakalowa żona i dzieci były wielce przerażone, usłyszawszy ryk lwa i poczęły drżeć, ale szakal wiedział, co robi. Spuścił grubą linę, ale nadciął ją w połowie długości tak, że pod ciężarem zerwała się, lew spadł i zabił się na kamieniach".

Bajka skończona i Zohra z triumfem spogląda na swych słuchaczy, ale widzi tylko zmarszczone czoła i groźne oczy.



W pewne gorące lato.

— Niech cię Allah strzeże, byś tej bajki nie powtórzyła komukolwiek raz jeszcze i to w dodatku na ulicy, gdzieby cię mógł usłyszeć cudzoziemiec — zawołał wkońcu ojciec groźnie. I nie warto było o nic pytać, bo ojciec nie miał zwyczaju tłumaczyć się ze swych rozkazów. Ale matka powiedziała łagodnie w odpowiedzi na przerażone spojrzenie swej dziewczynki:

— Widzisz, córeczko, cudzoziemcy mogliby cię źle zrozumieć. Oni nie znają naszych zwyczajów.

— I lepiej, aby ich nie poznali nigdy — dodał ojciec ponuro.

Maroi.



Trzy razy dziennie chodzi po wodę.

GRZECZNOŚĆ KRÓLÓW

FELJETON

Prawda, jak niesympatycznie brzmi słowo punktualność? Gładkie, ulizane i nudne. Och, jakie nudne. Wszystkie szare i dżdżyste dnie są punktualne. Rozkosznie parzący słońcem poranek jest równie nieobliczalny jak śnieżna burza.

Punktualność to wieczny pośpiech z wydążeniem na czas. To za grzeczne. Precz z punktualnością! I jakie to w dodatku niewygodne, jak gwóźdź w bucie.

Ale stop. Dosyć tej demoralizacji. Zajrzyjmy teraz za kulisy rozkosznego życia osoby niepunktualnej.

Pociąg odchodzi. Ten podmiejski, którym jedzie się ze szkoły na obiad do małego domku, utulonego w objęciach srebrnych świerków. Lala wpada na dworzec kolejowy czerwona, spocona i zasapana. Już na peronie pęka rzemyk od książek i wszystko wali się w błoto. A tu lokomotywa posapuje znacząco. Podnoszone książki lecą na nowo z rąk Lali. Śliczna liljowa obsadka stacza się pod koła. Trudno. Koła te już zaczęły się obracać. Lala wskakuje na stopień jeden i drugi i wpada do korytarza. Wściekłe syknięcie oznajmia jej, że nadepnęła na odcisk staremu panu. Trzeba więc wysłuchać czegoś na temat dzisiejszej młodzieży. Wreszcie znajduje się zaciszny kącik. Można zdjąć beret, powachlować się nim i zająć obcieraniem zabłoconych książek czystą chustką do nosa, którą dla uniknięcia kompromitacji zapomni się pod ławką. Serce tłucze. Nos się świeci. Wygląda się brzydko i niemodnie. Wszystko dlatego, że korciło obejrzeć z koleżanką fotosy „Najpiękniejszej z dryjad". Z tą koleją bywa i gorzej. Pewien mieszkaniec Ejnyszek, czy innych Kodlikiszek opowiadał po takim wypadku z żalem: „przyszedłem do kolei, a koleja poszła". Pójdzie w ten sposób niejedna rzecz w życiu i ani się na nas obejrzy. My zato będziemy patrzeć smętnie w tę dal, gdzie zniknęła. A odrabianie lekcji? Czy pamiętacie, czytelniczki, moją Halę z zeszłego sezonu, co się tak bardzo śpieszyła? Pośpiech nie jest bratem, ani przyjacielem, jest zaprzysięgłym wrogiem punktualności. Chyba, że zgodnie z przysłowiem będziemy się śpieszyli

powoli... Ale co tu długo rozumować — popatrzmy sobie lepiej z boku, póki to nas nie dotyczy. Są instytucje. (np. P. K. O.) w których za trzy spóźnienia automatycznie wylatuje się z posady. A czy spóźnił się kiedyś ktoś, co się nie śpieszył? Nigdy. Tylko czerwoni, spoceni i zasapani spóźniają się ustawicznie. Czy miło jest być całe życie czerwoną, spoconą i zasapaną? I żeby w dodatku wszystkie przedmioty wylatywały z rąk? I żeby kołnierzyk zawsze był krzywo przypięty agrafką? I żeby się dziura skądś brała na pięcie? I wreszcie — o, to najgroźniejsze, żeby wszyscy zawsze mieli prawo mieć do nas jakieś pretensje?

Oto siedzi się grzecznie w ławce, a podła, tchórzliwa obawa drąży serce: „żeby nie zapytał, żeby nie zapytał, żeby nie zapytał". Bo się nie zdążyło, bo się nie obliczyło z czasem, ale zechciało przeciągnąć rozkosz oczekiwania. Psom na buty taka rozkosz, gęsto nakłówana wyrzutami sumienia. Jeszcze trzeba i to zrobić, i to skończyć, i tu pójść i tamto załatwić. Wynikło z tego stanu jeszcze jedno mądre przysłowie: „siedzieć jak na szpilkach". Na te szpilki sadza nas najczęściej niepunktualność. Czy nie lepiej rozmierzyć sobie zacny, stary czas na wygodne przegródki i zmieścić się w nich spokojnie ze wszystkiemi swojemi bagażami? Wtedy dopiero siedzi się w życiu miękko i wygodnie pod zdrojem łaski świętego spokoju.

Zajrzyjmy jeszcze za kulisy niepunktualności, tam gdzie inni korzystają z jej rozkosznej swobody, a my musimy płacić.

Hela obiecała dziś przynieść książkę, którą się wzięło terminowo z czytelni. A jutro płaci się już karę. Poprostu płaci pieniędzmi, których zawsze jest mało.

Jadzia umówiła się z Zosią do kina. Zosia czeka gotowa, a Jadzi ani słychu. Po pół godzinie zjawia się (czerwona, zasapana, oczywiście). Leci się cwałem i wchodzi w połowę programu. Co ta młoda pani ma wspólnego z uroczym Nilly Kruks? Czy to jego siostra — nie, czulą się za bardzo. A do kogo należy działka złota? Tony, uroczy biały koń. Tony przesadza wszystkie przeszkody. Czy uratował tę dziewczynę od pożaru? Czy chodzi o zdobycie żywności dla zgubionych w pustyni poszukiwaczy złota? Zosia szczypie Jadzię w bok. „To wszystko przez ciebie". Brzydko robi, ale ma rację. Właściwie Jadzia powinna powiedzieć „przepraszam". Śliczne, przyjemne słowo. Niech je kaczka...

Otóż to. Niepunktualny osobnik stale musi wszystkich przepraszać: towarzystwo, które godzinę czeka na niego w kawiarni; wierzyciela, któremu „zapomniał" oddać dług; Marysię, która nakryła do obiadu i czeka; szefa, któremu nie oddał w przepisanym terminie roboty. Osobnik taki (jeśli jest np. krawcową) chyżo ściągnie na siebie niezadowolenie klientek i zostanie osamotniony ze swoim fachem. Lokatora, niepunktualnie płacącego komorne, odwiedzimy po roku z pewnością w innej dzielnicy. Może się tam przeniósł dla zdrowia?

A szofer o małą chwilkę za późno skręcający w bok? Też „niepunktualny" w swoim zawodzie. Dobrze, jeśli skończy się to na kupie żelastwa.

Niepunktualność żżera nerwy, jak rdza żelazo. O ileż więcej uderzeń serca na minutę; 50% dokuczliwych migren — to pośpiech, (ten po czasie, nie przed czasem) to noce „zarywane", to dnie, w których sprawy, niezałatwione w porę, spiętrzają się jedne na drugich, jak kra na rzece. Dni, gęste od kłopotów, zaległości, reklamacyj. Takie życie to istna księga zażaleń, w którą wszyscy stale wpisują swoje pretensje. Człowiek niepunktualny znajduje się stale w „sytuacji bez wyjścia".

Wyjście jest jedno i nietrudne. Stać się trochę, troszeczkę punktualniejszym. To *potrochu* jest niemal warunkiem, żeby się rzecz udała. Nigdy za dużo dobrych postanowień na raz. Od dziś (nigdy — jutra) będę się starała spełniać punktualnie jedną czynność. Naprzykład wcześniej wstawać do szkoły, czy biura. Albo: zawsze w porę odrobię najtrudniejszą algebrę (właśnie ją). Albo: zaceruję każdą małą dziurkę. Albo: będę punktualnie przychodziła na obiad. Albo: punkt dziesiąta będę codzień w łóżku. Albo: przestanę się umawiać „między 8-mą a 9-tą, „koło 6-tej" „przed obiadem" tylko dokładnie: 10 po 8-mej, punkt o tej. Kwadrans przed 6-tą. Znam osobę, która mówi stale: „będą u ciebie w przyszły wtorek 5 przed 7-mą". Mało, że mówi. Jest, jak zapisał. (Zapisuje sobie terminy — to prawda). Jest to zwyczaj bardzo europejski i ogromnie niepolski. Wartoby go wprowadzić. Cóż za teren dla niewyzyskanych możliwości w czasie! Czytałyście pewno o tych miljonerach amerykańskich i widziałyście ich na ekranie. Pociąg odchodzi. Taki pan w bebrach dyktuje sekretarzowi ostatnie zlecenia, a w ciągu minuty przed odejściem pociągu omawia z klientem, zamówionym na tę właśnie minutę, kwestję transportu tylu i tylu galonów nafty.

To jest odruch samoobrony organizmu przed nawałem prac. Ustawiczne oczyszczanie toru życiowego przez załatwianie spraw we właściwym terminie. Żadnej ponad przepisany termin nie wolno się panoszyć w naszem życiu. Czas jest drogi, a życie — krótkie. Hm. Sprawa do zastanowienia. Prawda?

Wanda Borudzka.

P. S. I. Dlaczego grzeczność królom? Bo mają gwarancję, że na nich zamsze i wszyscy będą czekali — są bezkarni. Jeśli więc panujący nie każe tracić ludziom czasu napróżno — jest to z jego strony — grzecznością.

P. S. II. Niniejszem wzywam Redakcję do stwierdzenia faktu, że artykuł ten napisałam i oddałam w przepisanym terminie.

Wanda Borudzka.

P. S. III. Tak było w rzeczy samej.

Redakcja.

A. GADOMSKA

NA CICHYM REMINGTONIE

NOWELA

Wysoki, chudy, zlekka przygarbiony pan z teczką w ręku wchodził właśnie na stopnie schodów drugiego piętra, gdy z dołu dobiegł go nucący, a ściśle mówiąc, mruczący głos młodej dziewczyny. Fala ciepła, ogarniająca cicho a nagle serce starszego pana, zdobyła szturmem jego zmęczoną twarz, wygładziła zmarszczone czoło, a na usta wybiegła uśmiechem. Zatrzymał się i czekał.

— Tańcował Kuba i jego luba
zawzięcie
On ją boksował codziennie rano,
A ona jego przy święcie.

Można już było rozróżnić początkowo nieartykułowane dźwięki uroczystej pieśni...

Niemniej uroczyście przedstawiała się śpiewaczka: zwinna figurka o sprężystych ruchach, fizjognomia rozcśmiana do jakiejś miłej myśli, bystre niebieskie oczy i jasny kosmyk, wymykający się z pod beretu dopełniały uroczystej całości.

— A tatuś!

— A córuś! — przedrzeźniał starszy pan, który usiłował przybrać zgorszony wyraz twarzy. — Cóż to za koncerty dajesz na schodach? Doczekałem się ślicznie wychowanej i zrównoważonej córki... Że myszy i szczury wystraszysz, to ci będzie może nawet policzone w poczet zasług wobec ludzkości; ale czemu nieszczęśliwi i zatrwożeni mieszkańcy tego domu mają mnie z oburzeniem wytykać palcami: „Oto ten siwowłosy starzec jest ojcem tej pannicy, co dzikie ryki wyprawia na schodach"...

— Tatuśku, Ha, ha, ha, tatuśku. „Siwowłosy starzec", który prowadzisz gimnastykę swoich występnych dzieci, który w kozi róg zapędzasz nietylko żonę i córkę, ale i syna na rodzinno-wakacyjnych konkursach hippicznych...

— No, no, smarkulo, nie pozwalaj

sobie za dużo i mów zaraz, skąd bogowie prowadzą tak późno? A może mamusia cię wysyłała do miasta? Chociaż nie: widzę, że książki niesiesz. więc dopiero wracasz ze szkoły?

— Nie, tatusiu. Idę prosto.. ach, ze źródła Cudownej Nowiny...

— Cóż to znowu za poezje?!

— Bo śnieg, tatuśku, taki cudowny śnieg. I...

— „I... i..."? Przestaniesz ty intrygować swego biednego ojca?

— Zaraz wszystko porządnie opowiem. tylko... O, już jesteśmy w domu. to niech się wszyscy dowiedzą.

Otwarte przez ojca drzwi ukazywały ciasny przedpokoik, bez reszty wypełniony kufrem, dwoma płaszczami na wieszakach, oraz rowerem.

Z pokoju wybiegła mała dziewczynka.

— Czy mamusia jest w kuchni?

— Mamusia ciągle pise, ale mie gardło bolało i dostałam kogel-mogel i — dzisiaj będzie legumina, ale zgadnij, jaka?

— Och, ty mały łakomczuchu, doprawdy mam inne zmartwienia. Puść mnie do mamusi.

Cak-cak-cak-cak-cak. Cak-cak-cak-cak-cak-cuk — wygrywał w drugim pokoju cichy remington.

— Słysys, ze mamusia pise i nie wolno pseskadzać. A właśnie, ze cię nie pusce.

— Puść mnie, brzdącu nieznośny. Nie dosyć, że tak ciasno, jeszcze mnie zatrzymujesz.

W tej chwili zamilkła maszyna do pisania ,a w drzwiach ukazała się mamusia, mrużąca zmęczone powieki krótkowzrocznych oczu. Złoty ognik uśmiechnął się poprzez rzęsy.

— Czemu tak późno, Mireczko?

— Mamuśku złota, posłuchaj. Posłuchajcie wszyscy: pani Wagnerowa — wiecie ta sympatyczna ciotka mojej uczenicy — opowiadała o tych pociągach wycieczkowych i... tak cudnie zapowiada się zima i... pani Wagnerowa mówi, że wkrótce będzie taka sama wycieczka (bo ona już raz jeździła, ale do Zakopanego), a ja tak marzę o poznaniu Białowieży. Wiecie przecież, tak tęsknię do podróży, gdzieś daleko, daleko.. Więc, proszę was, mamusiu, ojczulku, pozwólcie mi z nią jechać.

— A dokąd to się wybierasz, siostrzyco-globtrotterko?

— Ach, to ty Zdzichu! Nie słyszałam, jak wszedłeś? Właśnie opowiadam rodzicom o świetnym projekcie.

— Gotów jestem go wysłuchać, o ile zaraz siądziemy do obiadu. Pojęcia nie macie, jaki ja jestem głodny i zmęczony.

— No, siadajmy, siadajmy. Niechże Mirka dokończy swojej nowiny, tylko mów, córeczko, jasno, bo dotychczas — mam wrażenie, że to opowiada Fasolka — przemówiła mamusia.

— A więc zaczynam od początku. Na dużej pauzie zjawia się u mnie pani Zaleska z prośbą, żebym przyszła na lekcję zaraz po szkole, bo ta jej rozpaskudzona Tatunia idzie po obiedzie na imieniny. Dobrze. Idę. Po lekcji wchodzi do pokoju siostra pani Zaleskiej, pani Wagnerowa i — jak zwykle gadu-gadu — opowiada mi o swojej podróży pociągiem wycieczkowym do Zakopanego: jak się doskonale czuła, jak się świetnie bawiła i jak tanio. Naturalnie, zaczynam wypytywać o szczegóły takiej imprezy, a ona na to: „Za dwa tygodnie odbędzie się wycieczka do Białowieży. Gdyby pani miała ochotę i gdyby pani rodzice pozwolili, to chętnie taką zrównoważoną, taktowną młodą osobę, jaką jest pani (zyg, zyg, tatusiu!) wezmę pod swoją opiekę". A więc, droga władzo rodzicielska, przychyl się do prośby niżej podpisanej... Ja już sobie wszystko obmyśliłam, jak to będzie z pieniędzmi: z tych, co dostanę pierwszego od rodziców Zosi Popiołkówny — część dam, jak zwykle mamusi, jako ratę za płaszczyk, to co przeznaczone na farby, pójdzie na bilet (trudno: dwóch przyjemności naraz mieć nie można) a resztę wezmę z sobą w drogę. Napewno ich zresztą nie wydam. Miałam za nie kupić trochę „drobiazgów toaletowych" Fasolce, ale... Fasolka mi przebaczy — co, Fasolko?

— Psebacę — odpowiedziała poważnie Fasolka.

— Tak sobie to wszystko obmyśliłaś, że właściwie nie mielibyśmy nic przeciw temu, prawda, Kazin — zwróciła się matka do ojca — tylko, co będzie ze szkołą i... jak ty się tam będziesz czuła z samymi dorosłymi?

— Zgaduję, o co ci chodzi, mamusiu, o... „dancing-bridż" i nieznajome towarzystwo?

— Uhum, uhum — mruknął ojciec.

— Ależ, przecież z nieznajomymi nie będę tańczyła, a w bridża, jak wam wiadomo, nie gram. Pani Wagnerowa również nie gra, a z nią jedzie jeszcze jedna kuzynka. Będziemy się więc razem trzymały i świetnie bawiły.

— Cóż ty na to — matka porozumiała się oczyma z ojcem.

— Pozwólcie jej jechać — rzucił Zdzich — głupstwa żadnego nie zrobi, a że jeden dzień w szkole opuści, to drobiazg; przecież nigdy nie wagaruje, ja sambym się z nią wybrał, gdybym miał monetę, a przedewszystkiem — czas. Nie macie pojęcia, jaki ja jestem zaorany.

— Cóż ty na to, Marysiu — spytał tym razem ojciec.

— Zwyciężona — składam broń...

— Hip, hip, hura! Dziękuję! Dziękuję! Jaka ja jestem szczęśliwa.

— I ja się ogromnie cieszę, że zaczerpniesz świeżego powietrza. Muszę iść do pani Wagnerowej i podziękować, że bierze takiego ananasa.

— Dziękuję, mamusieńko najzłotsza.

— Zastanawiam się tylko, kiedy ja złożę tę wizytę. Bo...teraz ja wam opowiem swoją nowinę: mecenas dał mi nową, poważną robotę. Jest pilna, gdyż termin procesu wyznaczony na 15-go, to jest za trzy tygodnie. Wobec tego tak sobie rozłożyłam czas, że mam tylko dwadzieścia minut na wypoczynek po obiedzie. Musiałam nawet prosić naszą sąsiadkę, żeby Fasolkę zabierała na spacer. Od rana bez przerwy siedzę przy maszynie.

Po tych słowach posmutniało jakoś w pokoju — ucichło... Tylko zamyślony ojciec zaczął bębnić palcami po stole, wreszcie wstał i, obijając sobie boki o rajsbret, kredens i stół, podszedł do matki.

— Jeszcze rok Marysiu, jeszcze rok tej orki. Potem...

— Ach, Boże! Cóż za karawaniarskie miny widzę na obliczach? Zamiast się cieszyć świetną wiadomością — martwicie się. Przecież ja się nie skarżę, moi drodzy.

(D. c. n).



TWORZYMY POLSKĘ

P. W. K.







Na polanie w Gnatynie.
Przed namiotem szarzy.
Wymarsz na ćwiczenia.

Kiedy porównuję życie współczesnych dziewcząt do życia ich matek, wydaje mi się ono o wiele piękniejsze ale o wiele trudniejsze. Piękniejsze — bo współczesność otworzyła przed kobietą cały, wielki, niedostępny jej dawniej świat. Trudniejsze, bo zmusiła ją do szukania w tym świecie dróg innych, aniżeli te, któremi kroczyły jej matki i babki.

Prawo do szukania nowych dróg, prawo do kształcenia się, do pracy zarobkowej na rozmaitych polach, prawo do zajmowania stanowiska w społeczeństwie, wreszcie prawo do stanowienia o losach swego kraju nałożyło jednak na kobiety obowiązki, od których zwalniała je dotychczas tradycja i zwyczaje.

To przekształcenie się kobiety w obywatelkę poszło o wiele szybciej, niż mogły marzyć najśmielsze feministki. Dzisiaj nie tylko nie dziwi nikogo, że narówni z mężczyznami wybieramy do sejmu i senatu i w sejmie i senacie zasiadamy, ale i to, że upominamy się o prawo najwyższe: prawo bronienia ojczyzny, gdy tego zajdzie potrzeba.

Prawo to umiała sobie zdobyć niejedna Polka i dawniej, składając niezbite dowody, że męstwem i poświęceniem nie ustępuje mężczyznom. Te indywidualne wysiłki i akty bohaterstwa, których nie brakło nigdy w historji Polski, muszą ustąpić dzisiaj planowej pracy zbiorowej, dostosowanej do potrzeb przyszłej wojny.

Bo wojna nie będzie prowadzona wyłącznie na frontach i nie będzie polegała jedynie na zbrojnem spotkaniu dwu armij. Narażony na niebezpieczeństwo wobec samolotów i gazów trujących będzie każdy. I dlatego o wyniku wojny stanowić będzie tyleż waleczność, wyszkolenie i zaopatrzenie żołnierzy, co i postawa całego społeczeństwa.

Do wojny przygotowany musi być więc każdy. Dlatego to wszystkie kraje wprowadzają do programów szkolnych przysposobienie wojskowe dla chłopców a niektóre, również i dla dziewcząt.

U nas przysposobienie kobiet do obrony kraju nie jest objęte programem szkolnym, prowadzi je jednak na terenie szkół Organizacja Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju, organizując z dziewcząt, rozumiejących potrzebę takiego przeszkolenia, hufce szkolne.

W Hufcach Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju wdrażają się dziewczęta do pracy zbio-



Na wycieczce.

rowej, pracy doskonale zorganizowanej, planowej. W pracy tej jednostka, nie zatracając swojej osobowości, staje się jednocześnie kółkiem wielkiej maszyny, od sprawności której zależy bezpieczeństwo jej własne i jej najbliższych, gdyż celem i zadaniem hufca jest nietylko wyszkolenie swoich członkiń w służbach pomocniczych, ale również wyrobienie w nich odporności, odwagi, poczucia odpowiedzialności i karności.

Program szkolenia obejmuje tak zwany kurs ogólno-wojskowy, to jest następujące przedmioty: nauka służby i musztra (czyli regulamin wojskowy), higjena i ratownictwo, obrona przeciwgazowa, obrona przeciwlotnicza, strzelectwo, łucznictwo, ćwiczenia i gry polowe, terenoznawstwo i łączność. Po skończeniu kursu ogólno - wojskowego Pewiaczka (od PWK — przysposobienie wojskowe kobiet) wybiera jeden z kursów fachowych, a mianowicie: służbę sanitarną, oświatową, gospodarczą, łączność, służbę kancelaryjną, lub, jeżeli posiada do tego zdolności i zamiłowanie — kończy kurs instruktorski PWK, który daje prawo prowadzić w oddziałach PWK. ćwiczenia i wykłady.







W najmilszej pod słońcem jadalni...
Stawiamy namiot.
Gimnastyka poranna.

Programy wyszkolenia są ściśle dostosowane do możliwości i sił fizycznych dziewcząt, a podział organizacji na jednostki i funkcje, odpowiadające strukturze armji, stwarza ramy, które ułatwią zorganizowanie pracy kobiet na wypadek wojny.

Muszę tu dodać, że pracę przysposobienia kobiet do obrony kraju w czasie pokoju cechuje ogromna pogoda, koleżeństwo i poczucie przynależności do jednej rodziny, co daje dziewczętom silne oparcie moralne i stwarza radość życia i pracy.

Dopełnieniem kursów zimowych są obozy letnie, organizowane po całej Polsce w malowniczych i zdrowych okolicach kraju. Niestety, wciąż jest ich jeszcze za mało!

Obozy, jak twierdzą te, które na nich były, są najmilszem i najpiękniejszem spędzeniem wakacyj. Młode obozowniczki przyzwyczają się prędko do niewygód sypiania w namiotach i do wczesnego wstawania, do jedzenia z kotła, alarmów, dyscypliny i precyzyjności ruchów, których praca zespołowa wymaga. Wszystkie trudy życia obozowego stokrotnie wynagradza możność odetchnięcia pełną piersią, wypróbowania swych sił, no — i pomysłowości, bo cecha ta nabiera specjalnej wartości właśnie w życiu zbiorowem.

Dodajmy do tego wspólne wycieczki, które dają możność poznawania różnych okolic kraju, zżycie się z koleżankami, niezapomniane godziny przy ognisku obozowem.

Ale o ognisku niech lepiej opowiedzą same obozowniczki!

Na zakończenie dodam z naciskiem, że Organizacja Przysposobienia Kobiet nie jest nastrojona militarnie. Nie chcemy wojny i nie dążymy do niej. Uczymy tylko, czem jest wojna, czem grozi jednostkom, rodzinom i krajowi i jak podczas niej trzeba się zachować, żeby być dla państwa nie balastem, ale pożyteczną jednostką.

Marja Podhorska.





Obóz PWK.

Hufiec w marszu.

KULTURA i SZTUKA



Rousova-Vicenova. W zimie. (Czechosłowacja).

WYSTAWA DRZEWORYTÓW

W Instytucie Propagandy Sztuki czyli w t. zw. przez skrócenie Ipsie otwarta jest obecnie Międzynarodowa Wystawa Drzeworytów.

Wystawa jest bogata i ilościowo i jakościowo. Zawiera bowiem 700 prac 233 artystów, reprezentujących 23 państwa. Oprócz narodów europejskich Japonja, Stany Zjednoczone i Kanada przysłały swoje eksponaty.

Zanim rozejrzymy się po wystawie, musimy naprzód zdać sobie sprawę, co to jest drzeworyt? Otóż drzeworyt jest to rysunek, wyryty wypukło na bloku drewnianym zapomocą rylca i dłuta, poczem powleczony farbą drukarską i odbity na papierze. W ten sposób otrzymuje się dowolny obraz czarno-biały. Można jednak wykonywać i drzeworyty barwne. Na wystawie obecnej subtelnie stonowanemi kolorami zwracają uwagę drzeworyty japońskie.

Drzeworyt w najpierwotniejszej swej postaci spotykamy już przed dwoma tysiącami lat w Indjach. Klocki drewniane stosowano tam do odbijania powtarzających się deseni na tkaninach. W nową fazę swego istnienia wstępuje drzeworyt jednocześnie z wynalazkiem papieru i druku. W pierwszych książkach pojawiają się drzeworyty jako ozdoby i ilustracje. Wielcy mistrze rysunku zaczynają się posługiwać drzeworytem celem rozpowszechnienia swoich dzieł. Z jednego bowiem wyciętego bloku drzeworytniczego można odbić dowolną ilość egzemplarzy na papierze. Sztukę drzeworytniczą uważa się jednak ciągle za niższą postać artyzmu; toteż malarz ogranicza się do zrobienia rysunku, który ktoś inny przenosi na drzewo, a wreszcie fachowy rytownik — rzemieślnik wycina. Dürer, który sam rysował na drzewie, uważany był za wyjątek. Artyści owych czasów uważali sobie za ujmę pracę w materjale tak skromnym, jak drzewo, a nie stykając się z nim bezpośrednio, nie mogli odczuć jego natury.

Nieuniknionym skutkiem takiego stosunku artysty do materjału był upadek drzeworytu w w. XIX. Drzeworyt odgrywa wówczas rolę szablonu, którym odbija się nieskończoną ilość razy jeden i ten sam rysunek w pismach, jak to czyni się dziś zapomocą kliszy drukarskiej. W wielu domach spotkać jeszcze można stare roczniki Kłosów, Tygodnika, Wędrowca czy Bluszczu, w których niema innych ilustracyj oprócz drzeworytów. Dość jednak rzucić na nie okiem, żeby poznać, że się ma do czynienia nie z dziełem sztuki, ale z czysto mechaniczną, choć ręczną robotą. Rzemiosło zabiło artyzm. Drzeworyt się wulgaryzuje, staje się pospolitym towarem odpustowych obraźników i niczem się nie różni od najgorszych jarmarcznych bohomazów.

Z druku drzeworyt zostaje na początku naszego wieku całkowicie wyrugowany przez trawioną w cynku kliszę drukarską. Zdawałoby się, że to już śmierć drzeworytu. Tymczasem to właśnie sygnał jego odrodzenia.

Światło i tym razem przychodzi ze Wschodu. Drzeworyt staje się ulubioną formą wypowiedzenia się artystycznego w w. XVIII i XIX w Japonji. W Europie renesans drzeworytu zaczyna się nieco później, wzmaga się stopniowo w wieku XX i osiąga swój kulminacyjny punkt obecnie.

Stosunek artystów do drzeworytu jest jednak zupełnie odmienny, niż dawniej. Artysta nietylko sam komponuje rysunek i przenosi go na drzewo, ale własnoręcznie go wycina w drzewie i odbija na papierze. Dzięki temu pracuje bezpośrednio w materjale i ma możność wydobycia z niego wszystkich jego wartości plastycznych. Dlatego każdy z drzeworytów, jakie widzimy na obecnej wystawie, jest oryginalnem dziełem sztuki, odzwierciadlającem zarówno indywidualne cechy twórczości danego artysty, jak właściwości jego rasy, klimatu, otoczenia i t. d.

Inaczej zapomocą czarno-białej kreski czy plamy wypowiada się Norweg, inaczej Włoch. Francuz z drzewa będzie się starał wydobyć lekkość i powiewność stylowego sztychu, a cała brutalność i bezwzględność hitlerowskich Niemiec znalazła swój podświadomy odpowiednik artystyczny w ciężkich, twardych zarysach niemieckiego drzeworytu. Japończycy idą tradycyjnemi śladami swojej sztuki narodowej, w drzeworycie narówni stawiając linję z barwą. Bezsprzecznie najpierwsze miejsce zajmują drzeworyty polskie i rosyjskie. Fakt nie bez znaczenia dla psychologji narodów, że właśnie Słowianie najlepiej wypowiadają się w drzewie. Synowie prastarych puszcz czują duszę drzewa, jako materjału, zarówno w budownictwie, jak w rzeźbie ludowej (świątki) zdobnictwie i grafice.

A teraz jeszcze jeden ciekawy objaw do zanotowania w związku z drzeworytem. Otóż jego rozkwit i rozpowszechnienie łączy się organicznie z demokratyzacją piękna. Dawniej posiadanie dzieła sztuki było przywilejem ludzi bogatych. Obraz t. zw. sztalugowy był i jest drogi. Płótno, farby, ramy kosztują dużo. Ale najwięcej kosztuje, a najmniej zwykle jest oceniany twórczy wysiłek artysty. Artysta wkłada w każdy swój obraz część swego istnienia, potem wystawia go na widok publiczny, a wreszcie musi obraz sprzedać, żeby żyć. Z tą chwilą, gdy obraz przechodzi na własność pojedyńczego nabywcy, jest za-



Władysław Skoczylas: „Wyjazd w pole".

zwyczaj dla ogółu stracony. Ogląda go tylko szczupłe grono najbliższych znajomych właściciela. Inni mogą conajmniej posiadać jego reprodukcję.

Z drugiej strony dzisiejsze warunki mieszkaniowe utrudniają coraz bardziej posiadanie wielkich obrazów. Wielki obraz potrzebuje wielkiej ściany, właściwej perspektywy i odpowiedniego otoczenia, a na to dzisiaj nie stać przeciętnego miłośnika sztuki. Otóż temu biednemu miłośnikowi przychodzi z pomocą drzeworyt. Jest tani i dostępny dla wszystkich. Można go kupić już za kilka złotych i umieścić wszędzie, powiesić na ścianie i mieć go zawsze przed oczami, albo schować do teczki i oglądać tylko wtedy, gdy się ma na to ochotę. Drzeworyt czuje się wszędzie dobrze: w pałacu i na poddaszu, w gabinecie ministra i w izbie robotnika, w pracowni uczonego i w sali szkolnej. Nie wymaga bogatej oprawy: płytka szklana i cztery wąskie listewki zamiast ram wystarczają mu w zupełności.

Pomyślcie co za przyjemność posiadać własne, oryginalne dzieło sztuki, nie jakąś tam reprodukcję, kupione za swoje groszowe oszczędności! Albo jaki to oryginalny i wykwintny podarunek dla kogoś, komu chcielibyście upiększyć wnętrze pokoju i dyskretnie przypomnieć się jego pamięci. Oryginalny drzeworyt polskiego artysty, z jego własnym podpisem!

Jeżeli znajdują się między Wami miłośniczki sztuki czarno-białej, postaramy się urządzić dla Was konkurs rysunkowy, z nagrodą w postaci pięknego drzeworytu. *S. P. O.*

FELCIA

Chodzą przez różne ulice,
chodzą po różnych podwórkach:
ślepy człowiek z czerwoną harmonją
i Felcia — przybrana córka.
Deszcz szumi w brudnym rynsztoku,
Śnieg prószy na asfalt podwórka —

On siada, a Felcia stoi zboku
jak mała, zmoknięta kurka.
Długo śpiewają płaczliwie,
długo na deszczu mokną,
zanim otworzy się okno
i spadną w papierku grosze.

Wtedy oczy jasne unosi
w podzięce i tępym smutku
Felcia — pieśniarka podwórka,
Felcia — przybrana córka.
I znowu dalej prowadzi ślepca,
prowadzi powolutku...

J. KORCZAKOWSKA.

10 DNI W ŚWIECIE

Barbara Wood jest najmłodszą artystką rewjową nie tylko w swoje mglistej ojczyźnie, Anglji, ale z pewnością na całym świecie. Liczy sobie ta znakomitość lat 10 i 2 miesiące.

Talent jej, jak się to zwykle dzieje z talentami dziecinnemi, odkryto przypadkiem. Mała Basia z lekkim humorem wyrecytowała kiedyś na imieninach u cioci wierszyk i tak zabawnie odtańczyła „taniec kurcząt" własnej kompozycji, że obecny przytem reżyser jednego z teatrzyków zaproponował jej występy. Państwo Wood są niezamożni, mają liczną rodzinę, więc się zgodzili pod warunkiem, że Basia nie przerwie nauk. Przed południem „szoruje" (jej własne wyrażenie!) przeto Basia do szkoły, gdzie czasami zbiera dwójki, a wieczorem występuje w rewji, gdzie zawsze zbiera oklaski.

Chociaż z Anglji do Holandji nie jest daleko, spóźnimy się już na otwiarcie parlamentu! A szkoda! Bo dzień obchodzony jest bardzo uroczyście, nawet przez najmłodszych obywateli, których delegacje składają powinszowania Królowej Wilhelminie. Tu dodam, że Królowa Wilhelmina panuje najdłużej w Europie ze wszystkich głów ukoronowanych. Wstąpiła na tron, kiedy miała lat 10, w roku 1890.

Z Holandji — do Niemiec. Najnowsze rozporządzenie Hitlera nakazuje wszystkim Niemcom ograniczyć się do jednopotrawowego obiadu. Pieniądze, zaoszczędzone z tego tytułu, mają iść dla tych, którzy wogóle obiadów nie jadają. Mamy zwyczaj kpić trochę z Niemców i ich zwyczajów — musimy jednak przyznać, że dzielnie walczą z kryzysem!



Królowa holenderska przyjmuje dzieci w dniu otwarcia parlamentu.

Kryzys odczuły podobno nawet flądry przy brzegach Danji. Zaczęły gwałtownie chudnąć. Ponieważ, chudnąc, przestały być smaczne, więc postanowiono je przenieść do innych zatok, gdzie jest więcej pożywienia. I pojechały flądry samochodami i koleją do Małego Beltu. I podobno odrazu się tam zaklimatyzowały, nabrały ciała i smaku.

Przymusowej emigracji uległy też dzikie koty, zamieszkujące ruiny jednego z zamków pod Rzymem. Ponieważ zamek ten ma być odrestaurowany, Mussolini kazał kotom oddać do użytku sąsiednią posesję. Żeby nie czuły krzywdy, przydzielono im stałe racje żywnościowe. Szczęśliwe koty!



Najmłodsza aktorka rewjowa.

DWA FILMY EPICKIE

Chcę dziś mówić o dwóch pięknych filmach — o „Kawalkadzie“ i „Orłach na uwięzi“. Chociaż filmy te są całkowicie różne pod względem treści, nastroju, stylu i sposobu wykonania, mają jednak jedną cechę wspólną: zainteresują tylko osoby inteligentne, które umieją patrzeć na ekran i widzieć tam coś więcej poza historją „jej“ i „jego“, zakończoną nieodzownym pocałunkiem.

W obu tych filmach przewijają się zdarzenia, które składają się na historję ludzkości, które odgrywają jakąś rolę w rozwoju kultury i wiedzy, aczkolwiek tylko na małym skrawku czasu i przestrzeni. „Kawalkada“ to Anglja w okresie między r. 1900 a 1933. „Orły na uwięzi“ to historja kilku wypraw polarnych od roku 1884 do 1931.



Zacznijmy od „Kawalkady“. W dziejach dwu rodzin — bogatych mieszczan, państwa Maryott, oraz pary ich służących, państwa Ossidges — odzwierciadla się historja Anglji w pierwszem ćwierćwieczu XX stulecia. Mamy więc wojnę z Boerami, śmierć królowej Wiktorji (za panowania której Anglja doszła do szczytu potęgi politycznej i gospodarczego rozkwitu). Katastrofę „Titanic'a“, która okryła żałobą wiele rodzin angielskich, epizod z przelotu Bleriot'a nad kanałem La Manche (w r. 1908), wybuch wojny europejskiej i jej zakończenie, wreszcie — panujący obecnie na świecie zamęt, z którego rodzą się dopiero nowe formy życia.

Wszystko to pokazane jest nie w postaci oderwanych faktów, lecz w ścisłym związku z historją dwóch wyżej wspomnianych rodzin, dzięki czemu to, co się dzieje na ekranie, wydaje nam się tak naturalne i żywe, a przecież jest dalekie i przebrzmiałe. Chociaż jest to tylko życie *wskrzeszone* przez genjalnego reżysera, nam się wydaje, że gdzieś jeszcze istnieje, tylko niekażdy może dostać się za tę czarodziejską zasłonę, która nas od niego odgradza. Tylko 30, tylko 20, tylko 15 lat dzieli nas od tych czasów i tak niedawno, a jednak tak dawno! Jakie dziwne wydają nam się stroje, fryzury, obyczaje! Zostały one odtworzone niemal z muzealną dokładnością. Ale reżyser nietylko oddał styl rzeczy zewnętrznych: przeniósł na ekran to, co jest najtrudniejsze do uchwycenia — atmosferę, nastrój, ducha owych lat. A przytem opowiada nam wszystko tak spokojnie, tak beznamiętni: zdarzenia wielkie i małe są dla niego jednakowo ważne, bo skądże można wiedzieć, jakie będą ich skutki? Jeden po kilkuletnim pobycie na wojnie wraca do domu cało, drugi wychodzi tylko przed dom i znajduje śmierć pod wozem strażackim. Dramatyczność zdarzeń reżyser wydobywa przy pomocy kontrastowych zestawień. Więc naprz.: entuzjazm tłumów, żegnających odjeżdżające wojsko i rozpacz dwóch kobiet, żegnających mężów; ojciec ginie w katastrofie, a córka nic nie wie o tem i bawi się wesoło na zabawie, tłumy wiwatują na cześć zawieszenia broni, a matka otrzymuje zawiadomienie, że syn jej poległ; cały naród bierze żywy udział w żałobie po królowej — dla dzieci jest to tylko widowisko, zabawa i t. d. i t. d. Co w tym filmie jest najlepsze, trudno powiedzieć, gdyż wszystko — scenarjusz, gra, reżyserja — jest na najwyższym poziomie. Wymienię więc tylko sceny, pod względem filmowym ujęte najbardziej oryginalnie. A więc przedewszystkiem — pogrzeb królowej Wiktorji. Nie widać konduktu, tylko słychać stuk kopyt końskich i widać balkon z osobami, przypatrującemi się ceremonji. Postacie tych osób i kilka powiedzianych przez nie zdań wystarczają do oddania nastroju tłumów głęboko wzruszonych śmiercią królowej. Dalej — wojna: zamiast realistycznych zdjęć, wizje maszerujących żołnierzy, wybuchających pocisków, padających trupów (co raz gęściej) i rosnących krzyżów. Wreszcie — sceny ostatnie: synteza lat powojennych, kiedy jedni radzą nad sposobami utrwalenia pokoju, którego ludzkość jest tak spragniona (fotomontaż ze scen dancingowych, konferencyj, przemówień oraz dialogu staruszków przy życzeniach noworocznych).



Fanny śpiewa...

Tęsknota za spokojem i potępienie wojny oto główna idea filmu, która, jak klamra, sprzęga scenę pierwszą z ostatnią. Wszystko się zmienia — mody i obyczaje, ale odjazd na wojnę czy to w r. 1900, czy 1914, budzi ten sam entuzjazm w masach i te same obawy w sercach żon i matek.



To też tylko kobieta (bohaterka filmu) jest pacyfistką z instynktu, gdyż ona jedna przeczuwa cierpienia, klęski i spustoszenia, które niesie ze sobą wojna i buntuje się przeciwko jej duchowi, który nawet w dzieciach rozwija złe instynkty i budzi uczucia nienawiści (zabawa dzieci w wojnę i chęć „pokrajania w kawałki“ nieprzyjaciela), opóźniając tem samem nadejście tak upragnionego powszechnego pokoju.

Marzenie o „braterstwie ludów“ jest już jednak częściowo zrealizowane, choć na małym odcinku życia: wśród badaczy i uczonych. Im to poświęcony jest film sowiecki, w oryginale noszący tytuł „Małygin“, od





nazwy słynnego łamacza lodów, który w swoim czasie uratował ekspedycję gen. Nobilego. Już w r. 1884 kilkanaście państw zgłosiło swe uczestnictwo w pierwszym „roku polarnym". Początek filmu to zobrazowanie smutnego końca wyprawy amerykańskiej, której uczestnicy giną z głodu na dalekiej północy. Ta część ujęta jest zupełnie teatralnie, prócz kilku ciekawych ujęć fotograficznych (głowa umierającego). Tak samo teatralne jest opowiadanie o wyprawach kupców, poszukujących drogi do Azji poprzez morza północne. Tutaj świetnie dobrane są typy marynarzy. Właściwy film zaczyna się dopiero od reportażu z podróży „Małygina" na północ, odbytej przed 2 laty, podczas której nastąpiło na wodach arktycznych spotkanie z Zeppelinem dr. Echenera. Ta część filmu jest najciekawsza, zarówno jako dokument, jak i ze względu na dziwnie fantastyczny widok sterowca, wiszącego nieruchomo nad martwemi, szklistemi wodami dalekiej północy, którą człowiek powoli opanowuje. Pokazano nam też sposób spędzania czasu na „Małyginie" i garstkę jego różnojęzycznych pasażerów, poszukujących silnych wrażeń. Ostatnia część filmu poświęcona jest przedstawieniu trudnych warunków, w jakich pracują dzisiejsi „polarnicy", chociaż są to warunki idealne w porównaniu z temi z przed lat 50. Ale i dziś jeszcze praca ta wymaga nietylko wielkich sił fizycznych, ale przedewszystkiem hartu ducha i dużej siły moralnej. Jakie dramatyczne jest wyjście podczas burzy dla sprawdzenia stanu aparatów meteorologicznych! Nietylko trzeba walczyć z wichurą, przyczem każde zboczenie z drogi grozi śmiercią, ale powtarzać sobie przez całą drogę wynik stanu aparatów, bo o zapisaniu niema mowy, a nie może być przerwy w podawaniu komunikatów meteorologicznych. Wzruszająca jest rozmowa radjowa „polarników" z rodzinami, oddalonemi o setki tysięcy mil, epizod dobrze nam znany z Polskiego Radja.

Film ten, choć nierówny pod względem wartości czysto kinowych, jest jednak doskonale zrobiony jako propaganda kultu dla ludzi nauki, którzy nie cofają się przed żadnemi trudami dla zdobycia wiedzy. W epoce przesadnego kultu dla silnych pięści i sprawnych nóg dobrze, że choć film przypomina nam o zasługach... głowy.

M. H.

KURJER DEKADOWY Nr. 9

10.X. — 20.X. 1933 r.

Debaty rozbrojeniowe w Genewie.

Rozmowy genewskie, poprzedzające konferencję rozbrojeniową, stanęły na martwym punkcie. Delegat niemiecki opuścił Genewę, aby odbyć naradę w Berlinie co do propozycyj Francji, Anglji i Włoch. Niemcy zdecydowały się odrzucić te propozycje i zawiadomiły Anglję oraz Włochy (pomijając Francję), że domagają się pełnego równouprawnienia zbrojeń.

W Genewie odbyły się — pomiędzy delegatem włoskim a ministrem Beckiem — rozmowy, które dowiodły dużej zbieżności zdań włosko-polskich na temat polityki bieżącej.

Zwinięcie zbytecznych katedr na wyższych uczelniach.

W dniach ostatnich przeprowadzone zostało zwinięcie szeregu katedr na wyższych uczelniach polskich, co jest skutkiem planowej akcji przeprowadzanej obecnie reformy akademickiej. Chodzi tu o usprawnienie ogólnego działania uniwersytetów drogą stworzenia w poszczególnych miastach instytutów specjalnych tak, aby pewne odłamy wiedzy nie były rozbite w poszczególnych uczelniach, a tylko zebrane w danych ośrodkach. W dalszym ciągu powrócimy do tego tematu, podając ogólny zarys tej akcji.

Zwycięstwo polskie w zawodach balonów o Puhar Gordon Benneta.

I-szą nagrodę w zawodach balonów o puhar Gordon Benneta zdobył balon polski Kościuszko. Lotnicy polscy po wielu przyjęciach na ich cześć udali się do Chicago, gdzie w dniu 1.X na Wystawie Światowej odbyło się doręczenie puharu polskim zwycięzcom.

Polska Akademja Literatury.

Rada ministrów uchwaliła utworzenie w najbliższym czasie Polskiej Akademji Literatury. Zadaniem jej będzie opieka nad piśmiennictwem narodowem, oraz praca nad jego rozwojem. Podejmować więc będzie działalność, zdążającą do podniesienia poziomu naszej literatury, przyznawać nagrody oraz stypendja.

W skład Akademji wchodzić będzie 15 dożywotnich członków, z których pierwszych 7 mianować będzie premjer i minister oświecenia. Nowomianowani członkowie uzupełniają swój skład przez dalsze wybory do liczby 15. Akademicy Literatury nosić będą odznakę honorową, ustaloną przez ministra oświaty.

GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

Piotr przychodził teraz do rodziców nie częściej jak raz, dwa razy w tygodniu. Dla Janki życie między Magdaleną a jej matką stawało się coraz cięższe, bo chociaż nie robiły jej żadnych wyrzutów i zachowanie ich w stosunku do niej było nietylko poprawne, ale nawet serdeczne — młoda dziewczyna wiedziała przecież, że cierpią, jedna z powodu wyjazdu Fernanda, druga zaś z powodu coraz częstszej nieobecności syna.

Wypadek napozór banalny, lecz bogaty w konsekwencje, rozjaśnił nagle sytuację i uczynił atmosferę trochę lżejszą.

Fernand, po zgłoszeniu dymisji, która została przyjęta, i po zerwaniu kontraktu, udał się na kilka dni do Londynu, ażeby ofiarować swe usługi firmie Andsley-Doddge. Zgłoszenie zostało przyjęte łaskawie, a ponieważ nie stawiał wygórowanych żądań, umowa doszła do skutku tem łatwiej, że znał doskonale język angielski.

Po omówieniu wszystkiego i podpisaniu kontraktu, Fernand wrócił do Paryża. Pewnego dnia, wczesnym rankiem, przyszedł na lotnisko Duc-les-Versailles, ażeby opróżnić swą kabinę i zapakować rzeczy: kaski, kombinezy, narzędzia.

Melancholijnem spojrzeniem obejmował tę kabinę, w której przeżył tyle miłych godzin, po dokonaniu szczęśliwego lotu, gdzie tyle z Piotrem przegadali, gdzie czuł się tak zadomowiony... Ściany były pokryte czerwonem obiciem w chiński deseń. Chińska latarnia z bronzu, z żółtemi szybkami, przesiewała światło prawie słoneczne...

Kanapa z drzewa lakierowanego na kolor zielony i złoty, masywny stół, fotele obite skórą, na które zarzucił materje chińskie i japońskie, duży parawan, na którym widniały groteskowe postacie, dywan wschodni, żółto-czarny, którego głównym motywem był stylizowany rysunek, symbolizujący szczęście — wszystko to tworzyło całość bez wielkiej wartości, ale miłą, zabawną i wesołą.

Wózek transportowy miał to wszystko przewieźć do składu mebli na przechowanie.

Fernand, idąc w stronę hangaru, spotkał Dicka.

— Pan Fernand! — zawołał Dick. — Cieszę się, że pana widzę... Więc to prawda, co opowiadają? Przechodzi pan do konkurencji...

— Muszę — szepnął Fernand zażenowany. — Możesz przyjść pomóc mi przy przeprowadzce! I przyprowadź jeszcze którego z towarzyszy.

— Klawo!.. Tylko się przebiorę.

Włożył starą kombinezę płócienną, umył ręce, powiedział kilka słów swoim towarzyszom, którzy poszli za jego przykładem i dogonił Fernanda.

— Martin i Le Canasson zaraz przyjdą — powiedział.

— Wie pan, jest dużo nowin... Huron des Moulliers zastąpi pana przy panu Piotrze. Fanta du Colombel jedzie z Faugères em. Des Moulliers będzie pilotował „Kormorana II", razem z panem Piotrem. Wobec tego wracam do pana Piotra, bo nie chcę być z „nią" na jednej maszynie.

W głosie jego brzmiała głucha uraza.

— Ale też jesteś uparty! — rzekł Fernand. — Ty, kamienny łbie!

— Przyznaję... Ale ona przynosi nieszczęście... I... chyba pan nie zaprzeczy — dodał ciszej.

Fernand zadrżał.

Czyżby ta piękna, młoda dziewczyna istotnie przynosiła „pecha"? Niestety, jej pojawienie się u Durand-Gardelów wywołało niejedno spustoszenie.

Fernand westchnął.

Obaj z mechanikiem szli dalej w milczeniu. Ale w chwili, gdy Fernand przestąpił próg kabiny, którą miał opuścić na zawsze, doznał nagłego bólu.

Zastał tam Jankę i Piotra, którzy go najwidoczniej oczekiwali.

— Dowiedzieliśmy się przypadkowo o twoim powrocie — odezwał się Piotr. — A nie chcę pozwolić ci odjechać i nie uścisnąć dłoni, Fernandzie. Łączy nas zbyt dużo wspomnień, zbyt dużo węzłów braterskich, ażebym miał wygnać z pamięci jedne i zerwać na zawsze — drugie. Dlaczego nie zostałeś wśród nas. Skoro Janka — jego jasny wzrok z żalem i czułością spoczął na dziewczynie — skoro Janka określiła wyraźnie sytuację, odmawiając tobie i mnie. Czy nie moglibyśmy zostać tam, gdzie nas los umieścił i pozwolić czasowi zagoić nasze rany i po- [illegible]

Fernand uścisnął wyciągniętą dłoń Piotra i skłonił się przed Janką.

— Tak, Piotrze, masz słuszność — przemówił wreszcie. — Ale w tem, jak we wszystkiem, poszedłem za głosem mojej impulsywnej natury. Nie uczyniło mnie to szczęśliwym. Ale mówiąc szczerze, jestem zdania, że tak jest lepiej, o wiele lepiej. Rozstanie, które w zasadzie uważam za jedną z najnieprzyjemniejszych rzeczy, jest jednocześnie najlepszym lekarzem i najzręczniejszym dyplomatą. Kiedyś spotkamy się i znajdziemy obok siebie... Ale wtedy rany będą już zagojone — dokończył, próbując się uśmiechnąć.

Dick, o którego obecności wszyscy troje zapomnieli, przysłuchiwał się temu z ustami, otwartemi ze zdumienia.

— A więc, dowidzenia, stary — rzekł Fernand. — Dowidzenia, Janko... Proszę, błagam panią, niech pani zapomni o obraźliwych słowach, które podyktował mi gniew, namiętność i zazdrość... Czy zechce pani podać mi rękę?

Janka wyciągnęła dłoń... Uścisnął ją i przymknął oczy, ażeby nie zdradzić swego wzruszenia.

Wtedy zkolei przemówiła Janka.

— Powiedzieliście sobie wszystko, co należało... I nie mogło stać się inaczej między dwoma ludźmi dobrymi i lojalnymi. Ale i ja mam coś do powiedzenia.

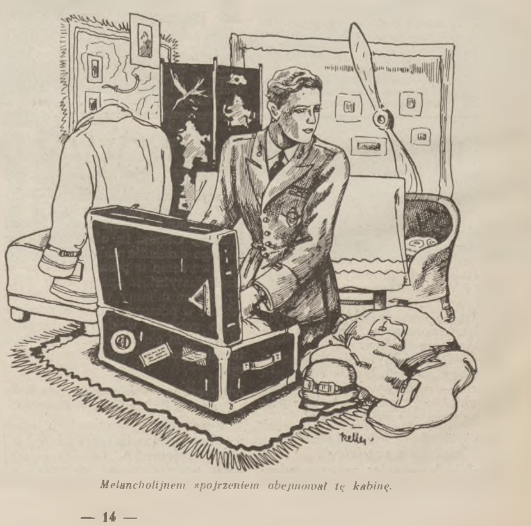
Spojrzeli na siebie, zaskoczeni.

— Proszę mówić, Janko — powiedzieli jednocześnie.

— Obaj zaproponowaliście mi, ażebym została waszą towarzyszką życia — zaczęła trochę zdyszanym głosem. — Obaj ofiarowaliście mi wasze nazwiska i zrobiliście to uczciwie, co potrafię ocenić. W głębi duszy i sumienia zadawałam sobie surowe pytanie, jak mam postąpić; wiem, że każdy z was, — choć obdarzeni jesteście odmiennemi zaletami i charakterami — może zapewnić spokój, szczęście i bezpieczeństwo tej, która stanie się waszą towarzyszką. To też mówię wam szczerze, może nawet z pewną dozą brutalności, że żaden z was nie jest mi całkowicie obojętny. A jednak w chwili, gdy zdaje mi się, że mogę uczynić wybór, zaczynam się wahać, drżeć, obawiam się popełnienia omyłki, obawiam się wtrącić w rozpacz jednego kosztem faworyzowania drugiego. Zwróciłam się o pomoc do Boga... I zdaje się, że podsunął mi rozwiązanie trudnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

Patrzyli na nią zdumieni.

(D. c. n.).



Melancholijnem spojrzeniem obejmował tę kabinę.

Ewa Zychówna.

ROK POLARNY

I WYPRAWA POLSKA NA WYSPĘ NIEDŹWIEDZIĄ

Rok Polarny 1932 — 33 jest już drugim w historji badań naukowych świata. Jego o 50 lat młodszy poprzednik nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei. Mówiono: zła organizacja pracy, brak odpowiednich urządzeń technicznych i małe zainteresowanie, bo tylko 12 państw zgłosiło swe przystąpienie do tej akcji.

Drugi Rok Polarny miał większe szczęście albo też urodził się w lepszych czasach. W Międzynarodowym Komitecie Organizacyjnym zasiedli przedstawiciele 36 państw europejskich i pozaeuropejskich, między nimi, oczywiście i Polacy.

W osobach trzech młodych uczonych, inż. Centkiewicza z Warszawy i pp. Łysakowskiego ze Lwowa i Siedleckiego z Krakowa, zorganizowaliśmy własną wyprawę polarną. Ekspedycja wyruszyła z Warszawy dnia 16 lipca roku 1932, a powróciła do kraju w początkach września roku bieżącego. W granicach tych dwu dat zamyka się przeszło roczny okres trudów, niewygód i żmudnej pracy dla dobra nauki i w imię przynależności Polski do wielkiej rodziny kulturalnych narodów.

Mając przed sobą mapę, możemy śledzić etapy tej ciekawej podróży. O pobycie na Wyspie Niedźwiedziej opowiedzą nam sami uczestnicy wyprawy. O tem, co z niej przywieźli, dowiemy się, gdy cenne materjały zostaną należycie opracowane, a wyniki ogłoszone.

Zaczynamy więc.

Wyjazd z Gdyni na polskim okręcie Polonia. Pierwszy etap podróży to Kopenhaga. Tu uczestników wyprawy wita prezes Międzynarodowego Roku Polarnego, prof. La Cour, winszując im wzorowego przygotowania do badań. Następnie — Narvik i pożegnanie z polską banderą: dalej popłyną już na statku norweskim. Teraz zkolei Tromsö, miasto, posiadające największe na świecie obserwatorjum Zorzy Polarnej. Znowu uroczyste przyjęcia, tym razem przez pr. Hansena i norweskie władze państwowe. Tu zainstalowano atmoradjograf. (aparat do pomiarów elektromagnetycznych). pomysłu prof. Lugeon, dyrektora P.I.M., który wraz z inżynierem Guremanem towarzyszyć ma ekspedycji do samej wyspy. A potem tydzień poświęcony skompletowaniu zapasów — i na łamaczu lodów 500 klm. do celu wyprawy!

Mapę mamy przed sobą, prawda? Te 500 klm. między morzem Borentsa i morzem Grenlandzkiem zajęło 3 i pół doby. Wreszcie 5 sierpnia — ląd. Björnöya! Skały Wyspy Niedźwiedziej!

Lądowanie na Björnöya nie jest łatwe: najniższy punkt jej wznosi się na 35 m. nad poziom morza! Niełatwo wywindować na to skaliste wybrzeże pięciu ludzi i 1260 skrzyń bagażu, wagi 18 tonn. Zwłaszcza, że statek zarzuca kotwicę w odległości 100 metrów od brzegu i przestrze tę trzeba przeby łodziami. Tu — wi dok zgoła nieoczeki wany: osiedle ludzkie — domy, słup latarni. kolejka wą skotorowa... Rado jednak okazuje s przedwczesna: os da jest pusta i zn szczona. Pozostała czasów, gdy wład norweskie eksplo-



Stacja radjowa na Bjornöya.



Brzegi wyspy.



Jedyną roślinność stanowią mchy i porosty.

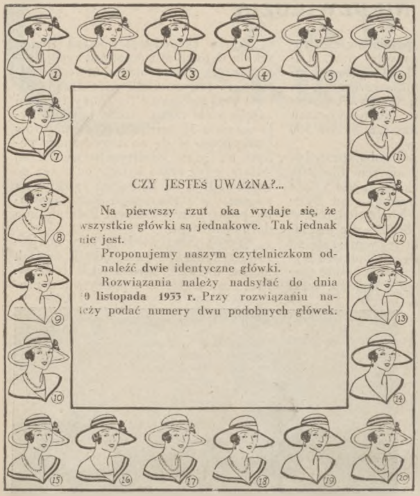
towały na tych terenach węgiel. Dziś zachowano jedynie małą radjostację, obsługiwaną przez trzech telegrafistów, stałych i wyłącznych mieszkańców Björnöya.

Polska ekspedycja polarna zamieszkała w jednym z domków, specjalnie na ten cel przez władze norweskie odrestaurowanym. Całkowite urządzenie się i przygotowanie do pracy i badań zajęło wiele czasu, trzeba bowiem było ustawić 37 precyzyjnych aparatów i przygotować się do całorocznego pobytu na lądzie, odciętym właściwie od świata. gdyż tylko w lecie od czasu do czasu lądują na Björnöya rybacy; na wiosnę i w zimie wyspa jest blokowana przez zwały lodowe, które bronią do niej dostępu.

Wyspa Niedźwiedzia. jako miejsce zamieszkania posiada. jeżeli się tak można wyrazić, bardzo wiele braków. Przez osiem miesięcy pokryta jest grubą warstwą śniegu, a jedyną jej roślinność stanowią szare porosty i mchy. Przeciętna temperatura roczna wynosi — 4°C (w Polsce + 8°C), co przy szalonych huraganach stwarza warunki atmosferyczne trudne do wytrzymania. Dodajmy do tego długie tygodnie zupełnego mroku: noc polarna trwa około 4 miesięcy...

(D. c. n).

ROZRYWKI UMYSŁOWE



CZY JESTEŚ UWAŻNA?...

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wszystkie główki są jednakowe. Tak jednak nie jest.

Proponujemy naszym czytelniczkom odnaleźć dwie identyczne główki.

Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 9 listopada 1933 r. Przy rozwiązaniu należy podać numery dwu podobnych główek.

KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów.

Poziome: 1. Naczynie wyborcze. — Słynny prowokator. 2. Potrawa mięsna. — Drogocenny kamień. 3. Głos kozy. — Unoszenie się w powietrzu. — „Módl się" — w jęz. martwym. 4. Litera grecka (wspak). — Utwór Sienkiewicza. — „Na" — po niemiecku. 5. Zaimek wskazujący. — Bóstwo egipskie. 6. Część twierdzenia. — Inaczej grubjanin. 7. Przyimek. — „Jak" — w jęz. martwym. 8 Rzeka w Azji. — Inaczej przedmiot. — Nuta. 9. Inaczej danina. — Okres czasu. — Ryba. 10. Inaczej duma, zarozumiałość (wspak). — Cesarz rzymski. 11. Zakończenie modlitwy.— Zwierzę morskie.

Pionowe. A. Bandyta, zbój. — Napój. B. Państwo w Am. Płdn. (wspak). — Znana firma szewcka. C. Skorupiak. — Zaimek osobowy. — Napój. D. Znak chemiczny. — Kawalerzysta. — Spółgłoska (fonet.). E. Nuta. — Znak chemiczny. F. Piastunka. — Imię męskie. G. Znak chemiczny. — Dwie spółgłoski. H. Przyimek. — Owoc. — Zaimek osobowy (wspak). I. „Ja" — w jęz. martwym. — Termin sportowy. — Lekarstwo inaczej. J. Kościół katedralny. — Imię żeńskie. K. Maszyna wojenna. — Miejsce rozrywkowe.

Wanda Derwińska (Warszawa).

Za trafne rozwiązanie powyższych zadań Redakcja przeznacza w drodze losowania wartościową nagrodę książkową.

Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dnia *10 listopada 1933 roku*. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji, z dopiskiem *„Rozrywki Umysłowe"*.

ENCYKLOPEDJA „ŚWIATA DZIEWCZĄT"

19) *Autarkja*, wyraz grecki. Dosłownie: samorządzenie się. Obecnie pojęcie autarkja używane jest w naukach ekonomicznych w znaczeniu: samowystarczalność. Mówimy np..: To państwo dąży do autarkji. Hasło autarkji stało się w obecnym kryzysie bardzo popularne.

20) *Ultima ratio regum* — dosłownie: ostatni argument królów. Wyrażenie łacińskie, które Ludwik XVI kazał wyryć na [illegible]

21) *Rule, Britannia!* dosłownie: *Panuj, Brytanjo.* Są to pierwsze słowa hymnu angielskiego.

22) *To be or not to be* — dosłownie: *Być albo nie być.* Pierwsze słowa słynnego monologu Hamleta (pierwsza scena trzeciego aktu dramatu Szekspira). Wyrażenia tego używamy wtedy, kiedy chcemy zaznaczyć, że waha się los człowieka, albo nawet całego narodu.

23) *Ex animo* — dosłownie: z duszy. Wyrażenie łacińskie. Używane dla zaznaczenia, że czynimy coś chętnie, z własnej woli. Np. czynię to ex animo.

24) *Esprit de corps* — dosłownie: duch gromady. Wyrażenie francuskie, oznacza ducha braterstwa, solidarności. Np. Esprit de corps każe naszej klasie wziąć w obronę koleżankę.

BRATNIE DUSZE

Stefa Błońska z Warszawy, Bracka 23 m. 4, w liście do redakcji (szukaj odpowiedzi w „A teraz porozmawiamy!") zwraca się z wezwaniem do „Bratnich Dusz", czy nie znalazłaby się duszyczka, któraby chciała korespondować z jakąś dziewczynką — Polką z Ameryki. Stefa pisze słusznie, że nasza młodzież — wynaradawia się w Stanach Zjednoczonych, chociaż czuje po polsku i nie chciałaby zrywać kontaktu ze starym krajem. Na dowód Stefa cytuje list chłopca z Nowego Yorku do jej brata: „Jak tam wszystko w starym kraju i w Warszawie? U nas w Ameryce jest powietrze bardzo ładnie i ciepło, mamy także nowy prezydent. Niemce tu mówią, że pomorze i Danzig należy do nich, mnie to bardzo, bardzo gniewa czytać takich propagandy o Polsce. Nie dajcie się Niemcom, jak oni tak do nas, to my tak będziemy dla nich. Ja bardzo kocham Polske i napewno kiedyś tam przyjdę na wakacje"...

Prawda, że list jest wzruszający — pomimo tych rażących błędów i że Stefce należy się podziękowanie za to, że chce w granicach swoich możliwości pośredniczyć między Starym i Nowym Krajem...

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 12— półrocznie — zł 7.—. kwartalnie — zł 3.50; miesięcznie — zł. 1 30.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość 1 łamu 52 mm. 1 mm w łamie 60 gr Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz". Warszawa, Solec 87, tel. 2-44-18; Tow. Reklamy Międzynarodowej Sp. z ogr. odp. Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna. Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogłoszeń, Senatorska 29; „Ruch" Wydz. Ogl., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par". Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczułka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrkowska 50; Poznań: Polska Agencja Reklamowa „Par", 27-go Grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmakt 10.

Redaktorka naczelna: Zofja Popławska.
Komitet Redakcyjny: Wanda Borudzka, Hanna Januszewska-Moszyńska i Zofja Miszewska.
Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja Solec 87. tel. 2-44-18 i 5-87-03. Konto P. K. O. [illegible] 18800
Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od g. 5½ do 6½. Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, Tel. 5-87-03.